Nr. 38 Rok 3 Kraków, dnia 20 września 1942. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



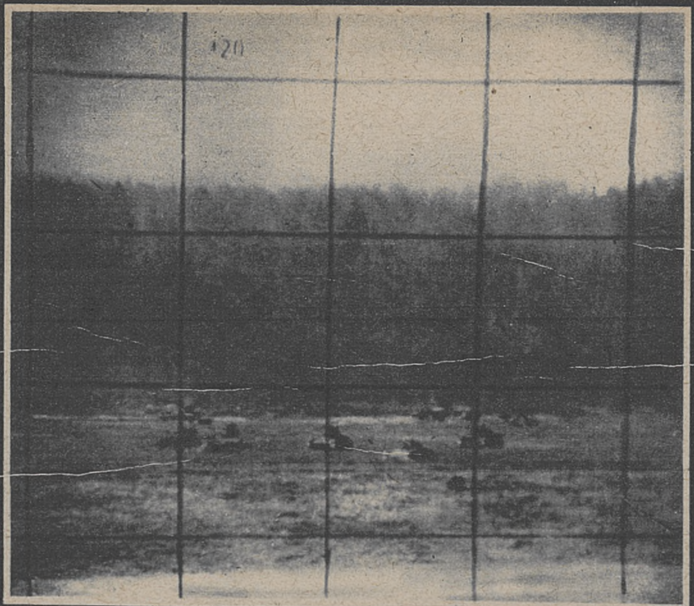
WESELE W ŻABIEM

HUCULSKI ORSZAK WESELNY, PRZYBRANY W BARWNE STROJE — WYSZYWANE SERDAKI I GUŃKI, OTACZA PANNĘ MŁODĄ JADĄCĄ KONNO DO ŚLUBU.

Fot. P. GG. Rösner



W OGNIU OBRONNYM SOWIETÓW
Ogromne ilości materiału ludzkiego i sprzętu wojennego zgromadzili Sowiety do obrony Stalingradu. Uporczywa i zacięta jest obrona, ale jeszcze bardziej zacięty i zaciekły jest atak piechoty niemieckiej, która wspierana czołgami przełamuje powoli opór niezliczonych bunkrów, rozsianych w tym potężnie umocnionym terenie fortecznym.

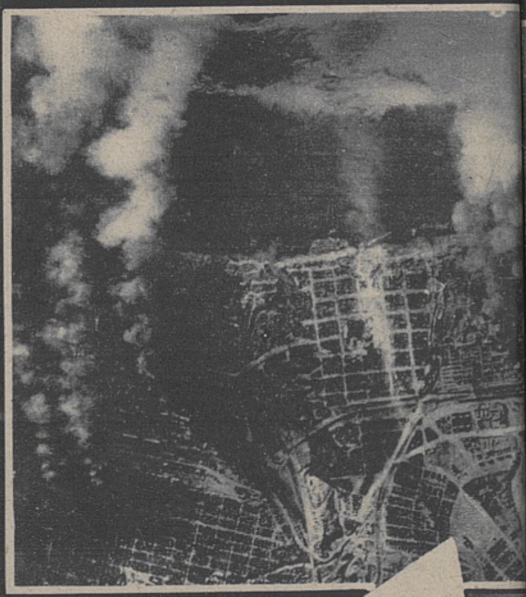




ATAK CZOŁGÓW WIDZIANY PRZEZ LUNETĘ POLOWĄ
Obserwator artylerii niemieckiej rozpoznał czołgi, wyjeżdżające z lasu. Na jego sygnał artyleria wspomagana bombami niemieckich samolotów bojowych, ostrzeliwuje skutecznie czołgi sowieckie. (Ostatnie zdjęcie na prawo u góry).



MAPA TERENU WALK DOKOŁA TWIERDZY STALINGRADU





Na lewo i na prawo u góry:
BOMBY NIEMIECKIE NA STALINGRAD
Już przy pierwszym nalocie zniszczono ważne obiekty kolejowe. Chmury dymu unoszą się do góry. Następne fale nalotów zapaliły bombami urządzenia obronne i zakłady przemysłowe.

Poniżej w kole:
PANOWANIE W POWIETRZU NAD STALINGRADEM
uzyskała niemiecka broń powietrzna — podaje komunikat wojenny armii niemieckiej. Najlepiej ilustrują ten fakt szczątki sowieckich samolotów bojowych, zestrzelonych pod Stalingradem.

WALKA NA FORT



„NIEPRZYJACIEL PODCHODZI JUŻ DO WOŁGI, PRASTAREJ RZEKI ROSYJSKIEJ I SIĘGA PO BOGACTWA KAUKAZU. NASZA ŚMIERĆ LUB ŻYCIE ZAWISŁY OD WYNIKU WALK SZALEJĄCYCH OBECNIE. NIE COFAJCIE SIĘ ANI O KROK! TEGO ŻĄDA OD WAS NARÓD!"

(WYJĄTEK Z ODEZWY RADIA MOSKIEWSKIEGO DO CZERWONEJ ARMII W STALINGRADZIE).

YFIKACJACH STALINGRADU





ZLIKWIDOWANIE SOWIECKIEGO POSTERUNKU OBSERWACYJNEGO

Bolszewiccy obserwatorzy, których widzimy na zdjęciu, kierowali ogień artylerii sowieckiej na pozycje niemieckie. Jednak oddział niemieckiej piechoty szturmowej wytropił ich i wziął do niewoli.





Na prawo w kole:
TAM PO PRZECIWNEJ STRONIE LEŻY WOŁGA



POD OSŁONĄ SZTUCZNEJ MGŁY,
czołgi niemieckie suną do ataku na przedmieściach Stalingradu.

Fot: P. B. Z. 4
Scherl 4
Atlantic 1
SS. KB. Wiegand 1

PRZY STOLIKU

Sprzedaż kawy na wolnym powietrzu. W większych miastach Szwajcarii i Francji był rozpowszechniony zwyczaj sprzedawania kawy na placach i rogach ulic. Sprzedawczyni nalewa do filiżanek kawę naparzoną w dużym kotle i podaje przechodniom. Barwna litografia z roku 1804 wykonana przez Traviésa z Wulfingen.





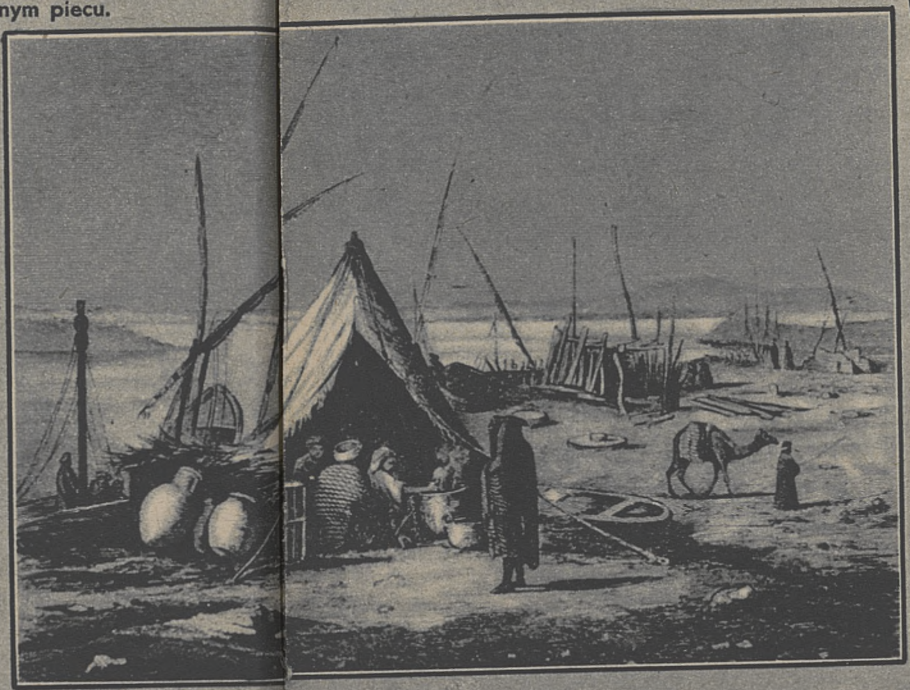
Powyżej:
Współczesna kawiarnia arabska. Charakterystyczne jest to, że każdą filiżankę kawy przygotowuje się oddzielnie w małych naczyńkach mosiężnych w specjalnym piecu.

Obok:
Młoda dziewczyna niesie na tacy zastawę do kawy. Miedzioryt z 1870 roku.

Fot: Historia Photo 8
Borek 1

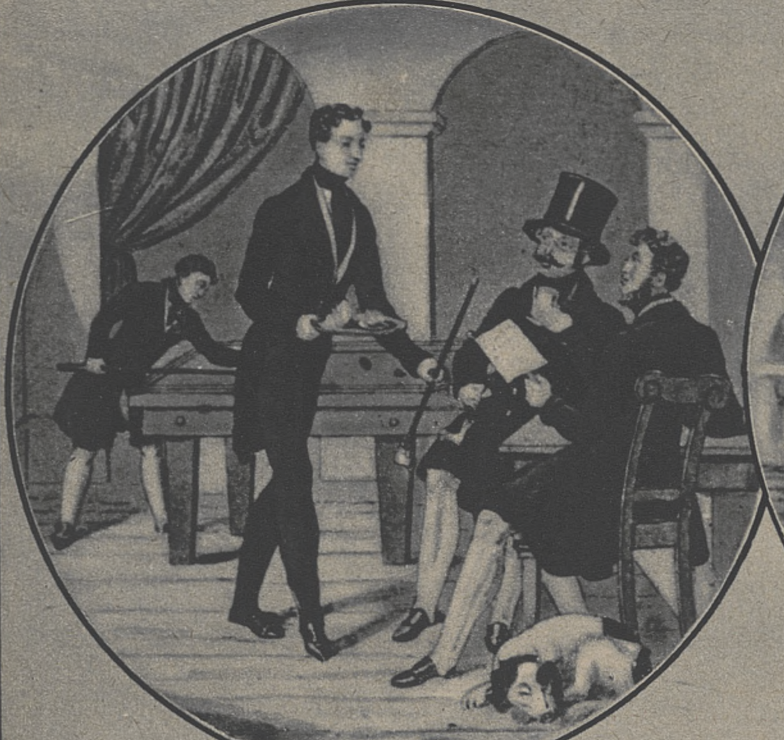


Poniżej:
Oryginalna kawiarnia nad brzegiem Nilu w pobliżu Kenneh. Litografia z 1859 roku.



Poniżej:
Widok ogródka nowoczesnej kawiarni. Tłumy gości korzystając z pięknego dnia jesiennego siedzą przy stolikach i zabawiają się rozmową, słuchaniem muzyki tanecznej, popijając przy tym kawę lub lemoniadę.

Poniżej:
Karta reklamowa wręczana gościom w połowie XIX w., z okazji nowego roku, w jednej z kawiarń wiedeńskich.



Poniżej w kole:
Mała szopa z werandą pokrytą matami stanowi lokal kawiarni tatarskiej na Krymie.





Jesienne słońce kładzie się łagodnym światłem na okrągłych blatach marmurowych, odbija od delikatnych filiżanek z porcelany, przedziera przez gęstą mgłę dymu tytoniowego i dymiącej mokki. Brzęk potrącanych naczyń, szmer przesuwanych krzeseł, gwar zmieszanych rozmów unoszą się ponad stolikami niby szum i brzęczenie olbrzymiego ula. A w tę jednostajną muzykę wdziera się dysonansem jazgot trąbek samochodowych, krzyk ulicznych gazeciarzy i ostrzegawcze dzwonki tramwajowe.

Kawiarnia przepełniona. Przy każdym stoliku siedzą ludzie, zabawiają się rozmową, snują intrygi, omawiają z ożywieniem nowinki dnia, oddają się lekturze czasopism i dzienników, grają w szachy.

Tu przyjaciółki potrząsając niewinnie główkami pełnymi loków omawiają skwapliwie wady tej trzeciej-nieobecnej, tam grupka starszych panów spogląda okiem satyra na otaczające kobietki, ówdzie toczy się niegroźny spór na temat przykazań mody, dochodzą do skutku poważne umowy handlowe, zawiera się interesy. Kawiarnia jest dziś jednym z niezbędnych lokali nowoczesnego miasta. Zastępuje salony i domy handlowe, jest miejscem zebrań towarzyskich i spotkań, miejscem spoczynku chwilowego i posiłku. Kawiarnia miała początkowo za cel popijanie kawy, trunku, który posiada własności wzmacniające, dodaje sił osłabionym, wytrzeźwia po winie i zmęczeniu, ułatwia trawienie, narkotyzuje.

Kto właściwie wpadł na myśl przyrządzania napoju z nasion kawy — niewiadomo. Arabowie, których kraj dostarcza obecnie najlepszej kawy, przypisują sobie tę zasługę i opowiadają o tem następującą historyjkę: „Koza jest wszystkiemu winna" — mówią. — W kraju Yemen zauważył pewien arabski pasterz, że jedna z kóz wesoło skakała, ilekroć najadła się owoców z pewnego krzewu, podczas gdy inne były zmęczone i ociężałe. Pasterz kóz podzielił się swą obserwacją z przeorem klasztoru, którego mnichowie bywali bardzo często znużeni, odprawiając według reguły modlitwy po nocach. Przeor uważał to zjawisko za zrządzenie Opatrzności. Kazał on z czarodziejskich owoców tego krzewu zgotować polewkę, którą spożywali podlegli mu mnichowie jako lekarstwo i cóż się okazało? W krótkim czasie mnisi nieuczuwali znużenia i potrzeby snu w czasie swych nocnych modlitw.

Cudowny ten napój przejęli od Arabów Turcy. W 1555 r. sprytny Chen z Damaszku założył w Istambule pierwszą kawiarnię. Ale okazało się, że kawa była tym razem owocem zła. Albowiem robiła zbyt trzeźwymi ludzi, którzy pijąc w kawiarniach pozwalali sobie na krytykę zwierzchniczych rozkazów sułtanów. Aby położyć temu kres, sułtan Amurat III jak również Mahomet IV zakazali spożywania kawy. Jakże źle i mało znali oni słabą naturę ludzką.

Zakaz ten spowodował wprost przeciwny skutek. W krótkim czasie najnędzniejszy łatacz butów hołdował zwyczajowi popijania kawy.

Wtedy to sułtan Mustafa II wpadł na bardzo chytry pomysł. Wymyślił on podatek od spożywania kawy. Gdy chodzi o piastry, ustępują nieraz najgorsze nałogi. Jednak było już zapóźno. Spożywanie kawy już zbyt silnie się rozpowszechniło.

Z biegiem czasu zwyczaj pijania kawy przedostał się do Europy. Najpierw podbiła ona Paryż. W bardzo ciekawy sposób, bo przez miłość, zdobyła ona obywatelstwo w Paryżu. W roku 1669 „Złota Brama" wysłała posła do Ludwika XIV. Sułtan wybrał na tego dostojnika, intendenta ogrodów Seraju, Solimana Aga Mustafę Paszę. Był to poważny i dumny człowiek mniej więcej lat 50-ciu. Nosił on w czasie swych występów na dworze szaty przybrane diamentami. Podczas pobytu we Francji często podejmował on świat paryski w swych hotelowych apartamentach, które urządził według wzorów wschodnich. Ściany komnat były wyścielone kobiercami a na podłogach zamiast krzeseł leżały piękne, kosztowne poduszki. Niewolnice w strojnych wschodnich szatach roznosiły czarny, gorzki napój, który specjalnie przypadł młodym paryskim damom do smaku. Popijały go więc chętnie i z przyjemnością, zwabione

Dokończenie na str. 6-tej



Powyżej:
Typ kawiarni angielskiej z roku 1805. Sztych wykonany przez G. Kyne'a, a wystawiony przez Williama Willera w 1808 roku.

Na prawo:
Wschodnia kawiarnia z orkiestrą przygrywającą na gitarach według oryginalnego rysunku z roku 1850. Na przednim planie widzimy kilku Turków palących fajki. Fontanna znajdująca się w środku lokalu orzeźwia powietrze.



KAWIARNIANYM

ICH DZIECI

Poniżej:

CZEMU ONO BIAŁE!

Raz ten skandal się zdarzył w wielbłądziej rodzinie
Która z cnót małżeńskich z dawien dawna słynie.
Wszyscy wiedzą, że wielbłąd w kolorze jest bury.
Więc też tato znać nie chce takiej białej córy.





Fot: Atlantic 1
Tschira 1
Gorny 1
Archiw. 2

Na prawo:

CO Z TEGO WYROŚNIE!

Dumnie chodzą, ich ojciec i oślica mama,
Która aż dwa oślątka urodziła sama,
I marzą o karierze swych dzieci na świecie.
Jak myślicie, czym może zostać ośle dziecię?

Poniżej:

ZAROZUMIAŁY ŁABĘDŹ

Czarny łabędź swoje pióra nastroszył w ogonie,
Szyję wygiął w znak pytania i tak mówi żonie:
„Popatrz moja połowico, na to nasze dziecię,
Czyś piękniejsze łabędziątko widziała na świecie?"





PSIE ŻYCIE

Cóż więcej opisywać niż to co widzicie
Z najbliższego podwórka „zdjęte" to psie życie.
Nasz fotograf raz zaglądnął do psiej budy kątka
I uwiecznił na kliszy te żarłoczne psiątka.

NOWOCZESNE WYCHOWANIE

Dziś na świecie ten kierunek, że się wszystko ćwiczy —
I sportowo wychowuje, kaczka się z tym liczy, —
Chcąc do życia przysposobić dzieci należycie,
Choć są małe w marszu ćwiczy, — jak sami widzicie.

ułożył: Tadeusz K.



Dokończenie ze strony 5-mej

przede wszystkim pełnym tajemniczości urokiem znakomitego cudzoziemca. W krótkim czasie należało do dobrego tonu we wszystkich wykwintnych domach paryskich podawanie tureckiego napoju — a więc nie tyle turecka kawa — ile turecki dworzanin podbił serca Paryżanek.

Pierwsza kawiarnia w Europie powstała w roku 1883 w Wiedniu. Założył ją Polak, Kulczycki, który będąc tłumaczem towarzystwa handlowego austriacko-wschodniego w Turcji, poznał gruntownie sposób przyrządzania kawy a znając doskonale turecką mowę oddał on wielkie usługi w czasie oblężenia Wiednia cesarzowi jako posłaniec, tłumacz i kurier. Po odparciu Turków, pozwolił mu cesarz na jego prośbę odwdzięczając się za jego usługi, otworzyć kawiarnię w Wiedniu.

Za wzorem Kulczyckiego powstały w Europie w ciągu kilkunastu lat najrozmaitszego rodzaju kawiarnie. Najpierw były to miejsca służące wygodzie szarego tłumu, później miejsca spotkań polityków, poetów, pisarzy, malarzy, jednym słowem, — śmietanki umysłowej. Zwłaszcza w Paryżu rozwinął się typ politycznej kawiarni. Z końcem XVIII stulecia otworzył Sycylijczyk Prokop koło Teatru Francuskiego kawiarnię, gdzie przyrządzał bardzo smacznie kawę i potrafił ściągnąć do siebie najciekawsze i najsławniejsze osobistości. Fontenelle, Jan Babtysta Rousseau, Sautin, Crebillon, Voltaire i inni schodzili się tu, odczytywali swe dzieła, dysputowali, żartowali i opowiadali sobie nowinki.

W latach dziewięćdziesiątych przeżyły i kawiarnie krakowskie swoje niezwykłe chwile. W nich bowiem skupił się cały świat artystyczny i zamienił kawiarenkę Turlińskiego w klub artystyczny. Mały pokoik w kawiarni ochrzczony „Paon" stał się głównym miejscem schadzek. Jego krzesła i stoliki stały się świadkami biesiad artystycznych, dysput nieskończonych, wylewów uczuć gwałtownych, improwizacji, turniejów malarskich i poetyckich, budowania zamków na lodzie, namiętnych walk z filistrami, porywów szczytnych, jakie od wieków cechowały brać artystyczną.

Europejska kawiarnia stała się miejscem zebrań malarzy i poetów, klubem polityków, przy jej prostych stolikach zawiera się nie tylko kontrakty handlowe, ale urządza zebrania towarzyskie, uprawia zwodniczy flirt lub spędza słodkie sam na sam wśród ludzi, słowem nowoczesna kawiarnia stała się skupieniem pracowitego, gwarnego i ruchliwego tłumu. Jej arabski prototyp pozostał natomiast po dziś dzień miejscem błogiego spoczynku.

Nic dziwnego. Ziemia dokoła rozgrzewa się pod palącymi promieniami słońca, więc Arab chroni się w cień kawiarni. Sztucznie wywołany powiew wiatru chłodzi salę, puszyste dywany zachęcają do słodkiego odpoczynku. — Filiżanka kawy i tytoń zaprawiony opiumem sprzyjają pogrążaniu się w czarodziejskie marzenia. Godziny przepędzać można nie dostrzegając ich przelotu. Dusza marzy, a ciało spoczywa nic nie wiedząc o duszy.

AFORYZMY

Nie dawaj swego czasu bogatszemu od siebie.

*

Wygląda trochę dziwnie, że drugim kradną czas właśnie ci, którzy go mają najwięcej.

*

Gdy megaloman padnie, nie wierzy, że padł, lecz myśli, że go wywrócili inni. (Bo megalomania jest nieuleczalna).

*

Nadęty zajmuje wokół siebie dużo przestrzeni; dlatego też i nie ma nikogo blisko siebie.

*

Wielu młóci próżną słomę wprost dlatego, że nie mają pełnej.

*

Koń i język rodzą się bez uzdy.

*

Mądrym jest dopiero ten, kto umie być i głupim, kiedy trzeba.

*

Rycz, jeśliś jest lwem; lecz jeśliś osioł, milcz.

Ze serbskiego tłumaczył W. Podmajerski

ZA WCZEŚNIE...

HUMORESKA — NAPISAŁ W. LUBECKI

Tak, panie kochany, — zwierzał się przede mną przy stoliku kawiarnianym pan Feliks Szczypiórka i siedział smutny obok mnie. — Każdy człowiek ma jakieś zmartwienia, jakieś przykrości, które go więcej lub mniej gniotą, ale taki pech, jaki mnie prześladuje to największe nieszczęście, jakie kogoś spotkać może. Ja drogi panie — zawsze przychodzę za... wcześnie, u mnie wszystko wypada za wcześnie i dlatego jeden po drugim cios spada na mnie.

Spojrzałem zdziwiony na przygnębionego pana Feliksa, widziałem łzy w jego oczach, a jednocześnie twarz jego dziwacznie wykrzywiały nerwowe drgawki. Na wszelki wypadek odsunąłem się od niego nieco w bok i słuchałem dalej.

— Tak... tak... — mówił pan Feliks i ciężko przy tym westchnął. — Zawsze przychodzę za wcześnie i stąd całe moje nieszczęście... Pan dziwi się... Nie może pan tego zrozumieć? Prawda?

— Skądżeż znowu — bąknąłem nieśmiało i na wszelki wypadek odsunąłem dalej moje krzesło. — Zdarza się... rozmaicie zdarza się... — mówiłem uspokajająco, wiedziałem bowiem, że wariatom najlepiej nie sprzeciwiać się.

A pan Feliks Szczypiórka przysunął się do mnie bliżej i mówił dalej:

— Niech pan posłucha jednak całej mej historii, a przyzna mi pan rację...

Rozglądnąłem się przezornie za drzwiami i chciałem przygotować się do ucieczki.

— Cóż to można wiedzieć — myślałem. — Taki wariat może mnie za chwilę wyrżnąć kuflem piwa w łeb i nawet policja nic tu nie pomoże.

A pan Feliks Szczypiórka ze łzami w oczach mówił dalej:

— Zaczęło się — drogi panie — od tego, że ja za... wcześnie przyszedłem na świat. Nie śmiej się pan, ale tak niestety było. Za wcześnie — powtarzam — przyszedłem na świat. Tatuś i mamusia brali właśnie ślub i wrócili z kościoła. W domu czekali goście weselni, było wielkie przyjęcie i... właśnie w tej chwili ja przyszedłem na świat! Mamusi zrobiło się zaraz po ślubie niedobrze, zemdlała biedactwo — i ja narodziłem się. Zrobił się naturalnie wielki skandal. Goście rozlecieli się, a tatuś wrzeszczał:

— Taki drań! Nie mógł zaczekać, aż skończy się weselisko... Akurat teraz musiał na świat przychodzić. Jak wyrżnę bachora — to na miejscu uśmiercę...

— Zły był, rzucał się, wściekał, ale nie było rady. Urodziłem się za wcześnie i odtąd na każdym kroku nie przestaje mnie prześladować złośliwy pech...

Spojrzałem z wyraźnym współczuciem na rozżalonego pana Feliksa, a on mówił dalej:

— I odtąd, kochany panie, wszystko wypada u mnie za.. wcześnie. W szkole nauczyciele trzymali mnie po dwa i trzy lata w jednej klasie, a kiedy poczciwe matczysko żaliło się na to, odpowiadano jej:

— Nic nie szkodzi... Jeszcze mu za wcześnie do następnej klasy. Niech jeszcze posiedzi w tej samej...

— Za wcześnie... Rozumiesz pan — powtarzał ponuro pan Feliks i patrzył na mnie załzawionym spojrzeniem. — Cokolwiek robiłem, gdziekolwiek byłem, zawsze wypadło za... wcześnie. Udało mi się — mówił dalej i westchnął przy tym grobowo — udało mi się po długich i ciężkich cierpieniach zdobyć wreszcie posadę. Nie wielkie było to stanowisko, ale ubrano mnie w specjalny mundur z dużymi, błyszczącymi guzikami i postawiono przed gabinetem samego pana dyrektora. Miałem pilnować drzwi i każdemu zgłaszającemu się klientowi odpowiadać: „Pan dyrektor jest bardzo zajęty, proszę przyjść innym razem". Robota nieciężka, nawet przyjemna, serce moje tłukło się w piersi z radości. Ale cóż? Pierwszego dnia wylano mnie z posady i wyrzucono na zbity łeb... Dlaczego? A no... wszedłem — drogi panie — za... wcześnie do gabinetu dyrektora...

— Jak to? — zapytałem zdziwiony, pana Feliksa.

— A no, poprostu — odpowiedział melancholijnie. — W biurze pouczono mnie, że jeżeli dyrektor będzie mnie potrzebował, zadzwoni na mnie. Nad drzwiami wisiał istotnie mały, czarny dzwoneczek i ja, z drżeniem serca czekałem aż... zadzwoni. Czekałem dość długo, więc i zdrzemnąłem się nieco. Nagle zdawało mi się, że słyszę dzwonek. Zerwałem się, przetarłem zaspane oczy, chrząknąłem, nacisnąłem klamkę i... wszedłem. A bodaj-bym był pod ziemię zapadł zanim wszedłem. Znowu — psia kość — za wcześnie i niepotrzebnie. Przy biurku siedział pan dyrektor, a na kolanach jego przysiadła rozkosznie piękna nasza sekretarka. Gruchali jak gołąbeczki... On całował ją w uszko, ona głaskała go po łysinie... On częstował ją pomadkami, ona...... I w takiej właśnie chwili przesłyszał mi się dzwonek... Zrobiło się naturalnie wielkie zamieszanie. Sekretarka zgubiła bluzkę i wybiegła z pokoju, dyrektor zbladł, zerwał się z krzesła, zaczął groźnie sapać, że mnie aż zamgliło.

— A to co takiego? — wrzeszczał dyrektor. — A któż to pozwolił wchodzić **wcześniej** do mego gabinetu, nim zadzwonię... A to świństwo! To łajdactwo!

— Przepraszam — wystękałem litościwie, ale to nie pomogło. Zerwali ze mnie mundur, wypchnęli za drzwi i przepędzili jak psa. Ot przeklęty pech i tyle...

I pan Feliks znowu ciężko westchnął, a ja razem z nim.

— Ale to jeszcze nic — powiedział po chwili. — Było jeszcze gorzej. Pan napewno zna przyjaciela mego Wicusia Kantowskiego. Poczciwe i dobre to chłopisko, że go do rany przyłóż. Pewnego razu zdobyłem funt autentycznego masła i myślę sobie: Trzeba podzielić się z Wicusiem. Tam żona, troje dzieci, masła napewno dawno nie widzieli... Idę więc do niego. I co? Znowu wszedłem za... wcześnie. Żona Wicusia odbywała właśnie „rekolekcje" małżeńskie, w pokoju latały wazoniki, garnuszki, miotła, śmieciarka i inne przedmioty domowego użytku. Ja otwieram drzwi, a pani Wicusiowa trzyma akurat w ręku baniaczek i celuje w stronę Wicusia. I co pan myśli? Baniaczek spada nie na Wicusia, ale na moją głowę i zapada się aż po samą szyję. Oczy moje zalepia jakaś brudna ciecz, usta krwawią, rozdarte ostrym kantem baniaczka. Słowem, katastrofa. Ale to jeszcze nie koniec. Wicuś i pani Wicusiowa próbują ściągnąć baniaczek z mojej głowy, ale gdzietam. Baniaczek przylgnął i żadnym sposobem nie daje się oderwać. Dwie godziny mocują się, zdzierają — brudna, lepka ciecz zalewa mi szyję, piersi i całe ubranie, — a baniaczek tkwi na mojej głowie i ani się ruszy. Stoję bezradny, nie mogę nawet drgnąć, a oni chwycili siekierę i młotek i próbują siłą podważyć baniaczek. Ja krzyczę, płaczę, klnę z całych sił, ale nic nie pomaga. Głos mój tłumi zaciśnięty baniaczek, a oni walą młotkiem i siekierą. Myślałem, że to już koniec i że z tym baniaczkiem włożą mnie już chyba do trumny. Wyprosiłem tylko Wicusia, aby za pogrzebem moim szła koniecznie orkiestra, zmówiłem trzy razy „Zdrowaś" i gotowałem się na śmierć. Ale na szczęście pani Wicusiowa sprowadziła znajomego blacharza i ten dopiero po ciężkich mozołach przeciął baniaczek nożycami i zdjął mi go z głowy. Przy operacji tej zemdlałem, straciłem przytomność i obudziłem się dopiero w... szpitalu. Trzy tygodnie tam przeleżałem. Ot pechowy żywot — drogi panie...

Westchnąłem znowu razem z panem Feliksem i na pocieszenie zamówiłem dwa piwa. Pan Feliks przepuścił szklanicę haustem przez gardło, potem przysunął się do mnie i mówił dalej:

— Cóż miałem robić? Ożeniłem się. Myślałem — może ognisko domowe ochroni mnie przed dalszym pechem. Ale niestety! Nieszczęścia zawsze chodzą parami, jak powiedział kiedyś pewien filozof. I miał rację. Świętą rację. Dostałem żonę, teściową i od razu stałem się ojcem... siedmioletniej córki. Ale trudno! Ciepła ogniska domowego nie zdobywa się darmo! Zacisnąłem zęby i cierpiałem w pokorze. Teściowa moja okazała się krzepką niewiastą, ciskała baniaczkami jeszcze lepiej, niż pani Wicusiowa, ale ja wszystko pokornie znosiłem. Łudziłem się, że może w ten sposób przebłagam zły los i uwolnię się od przeklętego pechu. I zdawało się, że istotnie wszystko zmienia się powoli na lepsze. Dostałem wkrótce posadę sprzedawcy w jednej z firm handlowych, sprzedawałem sztuczną herbatę, kawę, kakao i inne szlachetne, zastępcze środki odżywcze i zarabiałem dość dobrze. Teściowa moja nie zrezygnowała wprawdzie z ćwiczeń baniaczkowych i raz po raz musiałem popisywać się moją wprawą w unikaniu groźnych pocisków, ale jednak, gdy pierwszego i piętnastego przynosiłem pensję, pozwalała całować się w rękę, a nawet wychodziła z pokoju, abym mógł pocałować żonę. I tak żyło się sielsko-anielsko i zdawało się, że pech odczepił się nareszcie ode mnie. Niedawno jednak wysłał mnie szef na objazd po okolicach Radomia. Obliczyłem, że podróż moja potrwa co najmniej cały tydzień i na tyle dni wziąłem urlop od teściowej i żony. Pech przestał mnie naprawdę ścigać. Interesy szły nadzwyczajnie. Ludziska kupowali sztuczną herbatę i kakao, jak rarytasy i do trzech dni byłem bez towaru. Zadowolony obliczyłem zarobione pieniądze i jazda do... domeczku. Cieszyłem się na samą myśl, jak przywita zarobione pieniążki moja teściowa — wracałem, pogwizdując wesoło. Przyjechałem do domu o północy. Nie chciałem o tak późnej godzinie budzić żony i dlatego ostrożnie przekręciłem klucz w zamku i cichutko, na paluszkach otworzyłem drzwi. Wchodzę do pokoju, zbliżam się, a w łóżku moim leży i chrapie najspokojniej dobry znajomy mojej żony, Józio Pękalski. Zawrzało we mnie. Podbiegłem, trzasnąłem draba w papę, zacząłem krzyczeć, żona moja wyskoczyła z łóżka, zaczęła płakać i błagać mnie o przebaczenie, ale nagle powaliło mnie potężne szturchnięcie, a po chwili ujrzałem pochyloną nade mną teściową. Trzymała groźnie zaciśnięte kułaki i krzyczała do mnie:

— A to kto widział? Miałeś przyjechać za tydzień, a wracasz w-cz-e-ś-n-i-e-j, łajdaku jeden. I jeszcze będziesz mi tu wyprawiał awantury! Zaraz mi wynosić się z domu i nie zakłócaj domowego spokoju, bo wezwę policję...

— Wyszedłem, a raczej zostałem wyrzucony, a na schodach krzyczała za mną teściowa:

— Powiedziałeś, że wracasz za tydzień, to trzymaj się tego. Ani minuty w-cz-e-ś-n-i-e-j do domu nie wpuszczę...

— I nie było rady — kończył pan Feliks. — Musiałem ustąpić.

Czułem zdecydowaną litość dla fatalnych przejść pana Feliksa i chciałem na „pocieszenie" zamówić jeszcze dwa piwa, — ale kelner oświadczył nam, że należało wcześniej zamówić, gdyż teraz już niestety za późno i kawiarnię zamykają. Istotnie na sali było już pusto, a przy stoliku siedziałem tylko ja i pan Feliks.

— A no, trudno... Trzeba będzie pójść — powiedziałem.

— O! nie... — odpowiedział melancholijnie pan Feliks. — Pan idź zdrów, a ja tu zostaję. Jeszcze nie minął wyznaczony przez teściową tydzień, a ja nie mam zamiaru znowu wrócić za... wcześnie!

M. MAAK

POWRÓT JOHNA

NOWELA

Niespokojne zielonkawo-matowe grzywy fal z głośnym porykiem szalejącego żywiołu targały statkiem. Z łomotem — przy wtórze ponuro zawodzącej wichury — przewalały się strzępiaste grzbiety przez pokład, by zapaść następnie w przepaść wodną.

„Albatros" stary, zużyty w długiej wędrówce po morskich szlakach statek, jęczał przenikliwie w wiązaniach, napierany z wszech stron przez oszalały ocean.

Kapitan, stary wilk morski, zdartym chrypiącym głosem wydawał rozkazy. Zdawał sobie jednak sprawę z groźnej sytuacji, którą ocenił jako beznadziejną, wiedział bowiem, że płynęli po wodach, które kilka dni temu zasiane zostały setkami min. Rozstawione posterunki bacznie obserwowały rozszalałą powierzchnię wód, w poszukiwaniu ukrytego wroga, zetknięcie z którym położyłoby kres dalszej wędrówce. Z czterech łodzi ratunkowych pozostała tylko jedna — trzy zerwane, zatonęły w kipiącej topieli. Smutne rozmyślania kapitana przerwał John Woodley, młody, wysoki, atletycznej budowy mężczyzna, pełniący na statku obowiązki pierwszego oficera. Z trudem wyszedłszy po schodkach na mostek kapitański i zbliżywszy zsiekaną strugami słonej wody twarz, do zakapturzonej głowy kapitana, prawie rycząc — zameldował:

— Sześć min w bezpośredniej bliskości zaobserwowano!

Kapitan wykonał twierdzący ruch — na znak zrozumienia, a rysy zoranej zmarszczkami twarzy, kute setkami twardych walk z morzem, stężały w niemym wyrazie groźby. — Groźby przesłanej żywiołowi! Będą walczyć aż do ostatka! Odprawił Johna szerokim gestem ręki i z serdecznym umiłowaniem w oczach ścigał oddalającą się sylwetkę mężczyzny.

— Mój John! — pomyślał. — Mój chłopak! Zaraz jak tylko szczęśliwie przybiją do lądu odbędzie się ślub Nelly i Johna. — Myśl o córce radosnym szczęściem zalała serce starego, bowiem swe osiemnastoletnie dziecko kochał więcej, aniżeli ...morze, od którego doznał już tyle, tyle gorzkich zawodów. Chłopaka poznał gruntownie w czasie długich wspólnych rejsów i postanowił — zauważywszy obopólną przyjaźń młodych — połączyć ich trwałym związkiem. Będzie mógł wyposażyć młodych, bo przecież, gdy odstawi transport otrzyma masę pieniędzy. Częścią pokryje długi, ale spory kapitalik będzie mógł wręczyć córce. — A to byłaby radość! — uśmiechał się skrawkiem ust. — Cel jest bliski. Pozostało jeszcze dwa dni podróży. Wyładują towar — załadują węgiel — powrót i... niedokończył, bowiem potworny, jazgotliwy huk, wybił się ponad pomruk zawodzącego wichru, a „Albatros" drgnąwszy, przechylił się nagle na prawą burtę i znieruchomiał.

Zmartwiały, jak gdyby przykuty do mostu, stał stary kapitan z bolesnym grymasem, obserwując rozgrywające się przed oczyma sceny.

Załoga opuszczała tonący statek — jako ostatni wszedł do niespokojnie chybocącej się łodzi — John. Kapitan pozostał na stanowisku, mimo kilkakrotnych żebrzących próśb Johna.

Odpłynęli!

Odległość między miotaną falami łodzią, a konająco przechylonym statkiem wzrastała z sekundy na sekundę.

Przygasłym wzrokiem po raz ostatni objął stary wilk morski niesioną na grzbietach wód załogę — po raz ostatni przesłał bezwiednie pozdrowienie „szczęśliwego ocalenia" — po raz ostatni wzniósł gorącą prośbę do Boga — po raz ostatni... „Albatros" wynurzył się okaleczałym wrakiem z głębiny — zatonął.

* * *

Wysoko u zenitu bezchmurnego nieba zawieszona tarcza rozzłoconego słońca — gorącym strumieniem promieni — prażyła niemiłosiernym żarem szare masywy bloków kamienic — portowego miasta. Wynędzniali tragarze rozłożywszy się biwakiem, w cieniu oparkanionych zaułków, spożywali marny posiłek — dowcipkując. Małe, obdarte, umorusane dzieci rozweselone życiodajnym ciepłem — co chwila wybuchając kaskadami głupawego śmiechu — baraszkowały. Wszyscy zajęci wyłącznie sobą, nie zwrócili uwagi na skromnie ubranego mężczyznę, przechodzącego ulicą. Nieznajomy zatrzymawszy się przed wstydliwie wciśniętym między dwie potężne budowle domkiem — sprawdziwszy numer — żwawym krokiem wszedł do wnętrza.

Stromymi schodami o wytartych drewnianych stopniach, wyszedł mężczyzna na piętro — a drżąc wewnętrzną podniettą niepewności — zapukał do drzwi.

Ciche, lękliwie: — Proszę! — doleciało do uszu pukającego, wypowiedziane znajomym głosem. Przekroczył próg i stanął w małej, jasno bielonej izdebce, skromnie, aż nazbyt skromnie umeblowanej. Młoda kobieta siedząca przy stole pochylona nad robótką, nagle spoglądnąwszy na mężczyznę — złożywszy małe, spracowane dłonie w modlitewny gest — wzruszonym od nagromadzonych uczuć głosem — wyszeptała:

— John!

Z niemym uwielbieniem zatopiwszy spojrzenie niebieskich źrenic w ciemne otulone gęstą przysłoną rzęs oczy ukochanej — starał się rozbitek znaleźć w ich wyrazie dawne uczucie. Napróżno jednak! Firanki rzęs opadły z nerwowym drżeniem na zamglone powłoką łez oczy, a kobieta odwróciwszy się, wybuchając nagłym spazmatycznym płaczem — rwącym rozedrganym głosem — mówiła:

— Zapóźno John! Myślałam żeś zatonął. To już przecież pięć lat! Ja... jestem... już matką.

— Nie mogłem wcześniej Nelly. Kaleki za darmo nikt przewieźć nie chciał. No... i przecież była wojna.

— Kaleki? — zapytała kobieta, zwracając zroszoną — grubymi kroplami łez — twarz do Johna.

— Tak — potwierdził, a wyciągając drewnianą dłoń protezy — łamiącym się od przypływu nagłego żalu głosem — rzekł:

— Żegnaj!

Wyszedł. — Kobieta z spazmatycznym krzykiem rzuciła się na ziemię i zawodząc jęcząco, pieszczotliwymi imionami wzywała ukochanego do powrotu. Napróżno! John... odszedł, a wraz z nim szczęście miłowania.

* * *

Na urwistej skale nadbrzeżnej, groźnie przyczajonej nad huczącym nurtem, wysrebrzonej poświatą świetlistego księżyca — zadumanej w beznadziejnym czuwaniu — stał człowiek.

Z odległej dzwonnicy kościoła portowego, dźwięcznym głosem spiżowych serc płynęły nad zapadłą w życiodajnym odpoczynku okolicą — dźwięki dzwonów — oznajmiając miastu godzinę duchów.

Czas już na ciebie John! — szeptał stojący nad przepaścią mężczyzna. — Już czas! Musisz wracać, by złożyć kapitanowi „Albatrosa" meldunek o ocaleniu załogi! — Zwrócony twarzą w stronę migocącego światłami miasta przesłał w kierunku płynących z oddali dźwięków dzwonów, smutny, tęskny uśmiech.

Nieznacznymi ruchy posuwał się — omamiony obłędem miłości do krawędzi urwiska... Krok, jeszcze krok... jeszcze... z cichym jękiem bezwładne ciało obłąkańca, oderwawszy się od skały z groźnym pluskiem zanurzyło się w odmętach głębiny.

Przyjęło morze swego syna, przyjęła głębia należną ofiarę, a fale odbiwszy się pomrukiem od jasnego wapienia skał, popłynęły w nieznaną wędrówkę, szemrząc monotonią swych pluskań opowieść — o „powrocie Johna".

ROZMAITOŚCI

Pewien duński właściciel cyrku przybył ze swą trupą do Islandii. Ale na pierwsze przedstawienie nikt prawie z publiczności się nie zjawił, gdyż jak się potem okazało Eskimosi w tych okolicach nie posiadali gotówki. Właściciel cyrku umiał sobie jednak poradzić w tej trudnej sytuacji. Ogłosił on, że można nabyć bilety do cyrku za wątłusze, umówiwszy się poprzednio z handlarzami, że odkupią ryby od niego. Dostarczanie wątłuszów nie przedstawiało trudności dla Eskimosów i dzięki temu co wieczór cyrk był przepełniony, a obok stołu, za którym siedziała córeczka właściciela i sprzedawała bilety, piętrzyły się całe góry ryb. Pewnego wieczoru, na krótko przed rozpoczęciem przedstawienia przybiegła kasjerka do ojca bardzo podniecona wołając: — „Przyszedł teraz jeden gość, któremu mam wydać resztę, gdyż przyniósł fokę".

*

Większe ptaki wędrowne podczas odlotu służą nieraz mniejszym jako zwierzęta transportowe. Nie stwierdzono jednak, czy tego rodzaju przejażdżka odbywa się dobrowolnie czy też mali pasażerowie odpowiednio za to płacą. W Ameryce np. zaobserwowano, że dzika gęś kanadyjska, bierze na swój grzbiet mniejsze ptaki należące do gatunku zięb.

PORWANIE LILIANY

HUMORESKA

WP. Hoburn
Przemysłowiec
w Detroit
Hotel Ritza

Niniejszym pozwalamy sobie zawiadomić WPana, że poleciliśmy tutejszej naszej filii uprowadzić Pańską szanowną małżonkę, przy czym skłonni jesteśmy zwrócić ją Panu za odpowiednim okupem. W sprawie tej sumy oczekujemy Pańskich nieobowiązujących propozycyj, zwracamy jednak uwagę, że dla nas jest to interes sezonowy, związany niestety ze zwiększonym ryzykiem i kosztami. Z drugiej strony zebrane przez nas wiadomości, dotyczące Pańskiej firmy brzmią tak pomyślnie, że kwota 10 000 dolarów w żadnym razie nie może się wydawać wygórowaną.

Al Capann
Przywódca gangsterów

I załącznik
(List Pani Liliany)

Najdroższy Jonny, błagam Cię na kolanach, zbierz gotówkę i ratuj mnie czymprędzej. Znajduję się w rękach brutalnych gangsterów i żyję w okropnym strachu. Niedawno porwali oni trzy panie — i — zdaje się — wstyd mi to napisać! zawlekli je do domu publicznego. Zaklinam Cię, nie zawiadamiaj policji, gdyż będę zgubiona.

Tysiąc całusów śle Ci nieszczęśliwa
Liliana

— — — — — — — — — — — —

Nowy-Jork, dn. 25. X.
WPan Al Capann

Czcigodny Panie, zanim przystąpię do rozpatrzenia Pańskiej oferty z dn. 14. bm. proszę o nadesłanie mi dokładnej wiadomości, czy żona moja miała przy sobie jakąś biżuterię, nie mogę bowiem tutaj stwierdzić, czy brakuje czegoś w szkatułce. O ile sprawa ta nie będzie mogła być odłożona do końca mego urlopu, proszę dalszą korespondencję kierować do Paryża, dokąd zamierzam się udać.

Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności za dyskretne załatwienie załączonego pisma — i pozostaję — zawsze gotów do usług
Hoburn

I załącznik.

Kochana Liliano. zrozpaczony Twoim nieszczęściem, czynię największe wysiłki, aby Cię ocalić ze strasznego położenia. W ciągu bezsennej nocy rozważałem ostatnie sposoby ratunku. Są one, narazie, niewystarczające. Pretensje tych panów są bezgraniczne — nie w stosunku do Ciebie — lecz wobec moich sił. Nie trać odwagi, Twój
Jonny

— — — — — — — — — — — —

WPan Hoburn
w Paryżu

Wybaczy Pan, Szanowny Panie, jeśli pozwolę sobie Pańskie polecenie w sprawie klejnotów — nazwać co najmniej niewłaściwym. Żądania nasze są skromne i całkowicie odpowiadają Pańskim możliwościom. Tymczasem porusza Pan okoliczności, niegodne przedmiotu niniejszej sprawy. Dwudziestoośmioletnia platynowa blondynka, pełna wdzięku i wykształcona, o zębach olśniewających i smukłych nóżkach warta jest tego, aby zaakceptować bez wahania proponowaną sumę, choćby nawet sprawa pozostawiała coś do życzenia z czysto-handlowego punktu widzenia.

W oczekiwaniu Pańskiej ostatecznej odpowiedzi — pozostaję z wysokim poważaniem
Al Capann

I załącznik.

Jonny, czy ty śpisz, czy możesz spać? Pożera mnie niecierpliwość, nie mam od Ciebie wiadomości. Banda zaczyna być niemożliwa. Obrzucają mnie pożądliwymi spojrzeniami, nawet przydzielone mi dozorczynie — stały się ordynarne. Jeśli mnie kochasz, przyślij pieniądze telegraficznie. Ukłony i całusy od Liliany. PS. Nie zawiadamiaj policji, w przeciwnym razie będę zgubiona.

— — — — — — — — — — — —

WPan Al Capann
w Springfield

Na podstawie urzędowo poświadczonego wyciągu z ksiąg metrycznych — zechce Pan przyjąć do wiadomości, że odnośna dama liczy już 35 wiosen, natomiast jej olśniewające zęby, według rachunku dentysty Smitha (załącznik 2) są późniejszej daty, mianowicie pochodzą z końca ubiegłego roku. Ponieważ wspomina Pan o „platynowej blondynce", gotów jestem służyć Panom butlą wody utlenionej. Zechce Pan wobec

Dokończenie na stronie 9-tej

Dokończenie ze strony 8-mej

tego przedłożyć lepszą ofertę, biorąc przy tym pod uwagę ogólny kryzys gospodarczy.

Z poważaniem

Hoburn

I załącznik.

Słodka Liliano, list Twój był dla mnie prawdziwym balsamem. Rokowania zbliżają się do końca. Twój

Jonny

— — — — — — — — — —

WPan Hoburn

w Paryżu

W odpowiedzi odwrotną pocztą na list Pański, który również jak poprzedni, przybył tu ze znacznym opóźnieniem, muszę imieniem moich wspólników — wyrazić zdumienie. Jedynie po to, aby przerwać korespondencję, ograniczamy się do tysiąca dolarów — netto w gotówce, nie licząc naszyjnika z pereł oraz kolczyków, które Jego czcigodna małżonka — zechce nam pozostawić na pamiątkę. Sprawi nam zadowolenie, jeśli interes załatwiony zostanie na tej podstawie.

Z wysokim poważaniem

Al Capann

I załącznik.

John, ty potworze, pozostał ze mnie cień dawnej Liliany; — a więc tacy są mężczyźni. Egoisto bez serca, gdzie twoje przysięgi i zaklęcia? Ci gangsterzy są z każdym dniem coraz więcej bezwstydni. Czy tak trudno Ci się rozstać ze śmieszną sumą 1 000 dolarów? Pamiętaj, co Ci pisałam o policji. Ani słowa. Twoja

Liliana

— — — — — — — — — — — —

Mr. Al Capann

w Springfield

Powróciwszy wcześniej, niż zamierzałem do domu ze względu na to, że Pańskie bezustanne i nieuzasadnione reklamacje, psuły mi pobyt w Paryżu, dowiaduję się teraz, że pozwolił Pan sobie przyjąć w podarunku niezwykle cenne klejnoty mojej biednej żony, stanowiące pamiątkę rodzinną. Ta nielojalność zmusza mnie w interesie mojej godności do skorzystania z pomocy władz i zawiadomienia policji. Żałuję bardzo, że przy naszym pierwszym interesie wynikły niedające się pogodzić różnice zdań.

Z poważaniem

Hoburn

— — — — — — — — — — — —

(Telegram)

Mr. Hoburn, Nowy Jork

Jestem wolna. Czekaj na mnie w domu. Zrzekli się okupu i innych ofiar. Są jeszcze dżentelmeni. Dowidzenia

Liliana

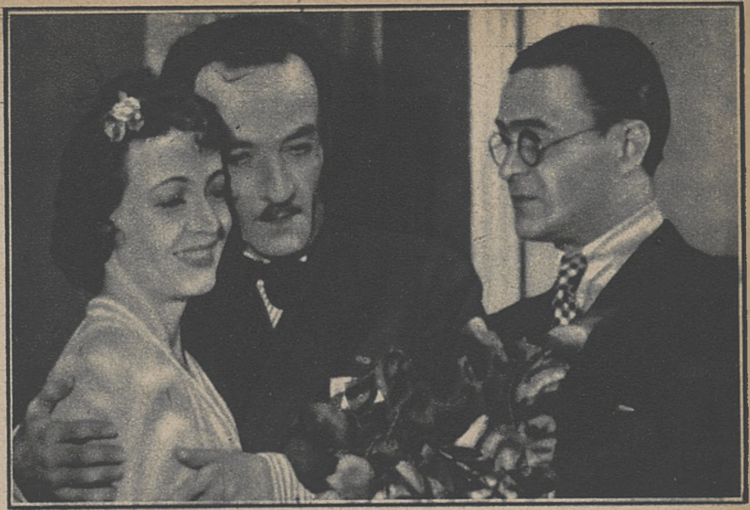
ZE SCEN WARSZAWY I KRAKOWA

TEATR KOMEDIA: — „KOCHANEK TO JA"

Komedia, a raczej komedyjka Niewiarowicza „Kochanek to ja" należy do rzędu tych utworów scenicznych, które mają jedynie rozśmieszać i bawić — i nic poza tym. Zazwyczaj też takie miłe bzdury „przemijają z wiatrem" lub chłodem jesiennego wieczoru jaki nas owieje po wyjściu z teatru.

Autor roztrząsa przez trzy akty, nieraz już rozwałkowywany i stary jak sama instytucja małżeńska temat, nieporozumień domowych.

Mąż, fabrykant mydła i smarów, po pięciu latach współżycia małżeńskiego postanawia rozejść się z żoną (w grę wchodzą jakieś obustronne ambicje). Od pięciu miesięcy małżonkowie osobno jadają i sypiają — słowem, prawie, że są rozwiedzeni; — chodzi tylko o formalności, które mają być wkrótce załatwione. Naraz mąż, postanawia zostać kochankiem... własnej żony. Zakrada się więc nocą do jej sypialni, gdzie (wcale niebezczynnie) spędza trzy godziny. Nazajutrz rano oświadcza żonie, że przed chwilą dopiero wrócił z Radomia. Ona będąc przekonana, że to nie mąż odwiedził ją w nocy, postanawia odszukać i jeszcze raz zobaczyć owego idealnego kochanka, który dał jej tyle rozkoszy. Mąż zaś wtajemnicza w całą tę historię swego wspólnika, który ma insynuować jego żonie, że to on właśnie był tym włamywaczem-kochankiem. Tak się też dzieje. Zanim dojdzie jednak do momentu kiedy wszystko się wyjaśni i małżonkowie złączą się prawdziwym miłosnym uściskiem, komedyjka obfituje w szereg uciesznych qui pro quo.



Na prawo:

Scena z III aktu komedii Niewiarowicza „Kochanek to ja". Na twarzy żony (M. Malicka) widać zadowolenie z pomyślnego załatwienia konfliktu między nią a mężem (R. Niewiarowicz). Obok wspólnik fabrykanta (A. Dymsza).

Fot: „Van-Dyck"

Rolę męża przyjął autor sztuki Roman Niewiarowicz. Zaznaczyć należy, że Niewiarowicz wystąpił na scenie nieprzygotowany zastępując Bendę, który po pierwszym akcie w dniu premiery zaniemógł i zmarł.

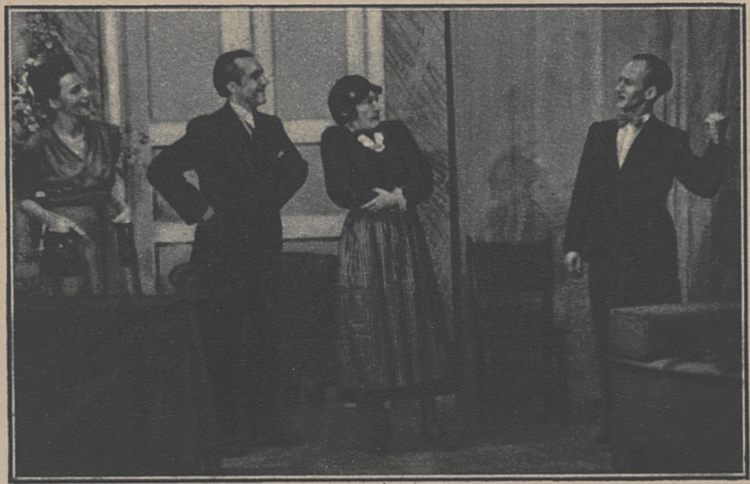
Żona w interpretacji Marii Malickiej — to jakby z życia wprost na scenę przeniesiona pełna wdzięków kobieta. Gra jej pozbawiona wszelkiej szarży i „momentów psychologicznych" zbędnych w tej farsie.

Rola przyjaciela napisana została zdaje się specjalnie dla Dymszy. „Dodek" czuje się w niej świetnie.

Jaworski jako służący — niezastąpiony, Preissowa jako pielęgniarka dobra.

Sztuka wyreżyserowana starannie przez doświadczoną St. Perzanowską.

Z. Bakuła



Scena końcowa komedii H. Rapackiej pt.: „Kwarantanna". Stoją od lewej: Jadwiga (Markowska), dyrektor (Danek), gospodyni (Grabowska) i Włodzimierz (Buratowski).

Fot. Dorek

TEATR OBJAZDOWY: -„KWARANTANNA"

W swoim dłuższym tournee po miastach Generalnego Gubernatorstwa, Teatr Objazdowy goszcząc w Krakowie, wystawił na scenie Starego Teatru komedię Haliny Rapackiej pt.: „Kwarantanna", — zdobywając pełny sukces i uznanie wybrednej publiczności krakowskiej.

Powodzenie sztuki należy zawdzięczać, w pierwszym rzędzie poruszonym w niej problemom społecznym oraz dobrej grze aktorów, którzy potrafili rozklekotaną na ogół całość komedii, odpowiednio skupić, zastępując dłuższe nudzące ustępy, ożywionymi momentami humorystycznymi.

Najlepszą pod tym względem była Maria Grabowska, — jako herod-baba, w roli pani gospodyni. Jej każde pojawienie się na scenie, witała publiczność huraganowymi oklaskami.

Również i gra Marii Tylczyńskiej w roli służącej Weroniki spotkała się z aplauzem publiczności.

Zbigniew Krzyżanowski w niewdzięcznej i trudnej roli Izaaka Sarny pokazał nam grę wysokiej klasy.

Stanisław Hoffmann poprawnie odegrał krótką rolę lekarza, będąc równocześnie kierownikiem artystycznym sztuki.

Natomiast o grze Lydii Kownackiej jako Ireny, Zofii Markowskiej w roli artystki Jadwigi, Józefa Danka w roli dyrektora, Franciszka Buratowskiego w roli muzyka Włodzimierza oraz Andrzeja Siemiana w roli lichwiarza Herszkowicza — możemy powiedzieć, że dali maksimum swych możliwości.

Wyjątkowo niska cena biletów przyczyniła się w znacznej mierze do większej frekwencji publiczności.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

J. EGLICZ

CZŁOWIEK PRZYSZŁOŚCI

Rok 2994...

Hale „Tytanii" grzmiały głuchym warkotem maszyn. W promieniach srebrzystych blasków prężyły się gigantyczne cielska motorów, bryzgały snopami szkarłatnych płomieni potężne kondensatory, miotały turkusowe błyskawice wyładowań wypełnione zieloną cieczą, kolosalne szklanne cylindry, bluzgały pędem wichru tytaniczne olbrzymy — rozpędowe koła. I hen, daleko, w zalane nocą pola i ugory szedł dziki turkot „Tytanii" — jednej z największych stacji doświadczalnych elektro-energetycznych prof. Gerda.

A rzeczywiście, należała ona do największych chyba cudów techniki owej doby, nie tylko bowiem dostarczała ogromnych ilości prądu całemu krajowi, ale co najważniejsze, naczelnym jej zadaniem była transformacja promieni kosmicznych na energię elektryczną. Stanowiła więc ona jedno z najwspanialszych dzieł geniuszu ludzkiego wszystkich epok, — krzyk, fenomen pomysłowości i wynalazczości.

Toteż profesor Gerd należał do najbardziej cenionych i szanowanych indywidualności w społeczeństwie, a sława jego sięgała w najdalsze zakątki globu.

Właśnie przechodził hale maszyn, badając każdy szczegół, niemal każdą śrubkę swego państwa motorów. Otulony w granatowy gumowo-azbestowy skafander, w ogromnych anti-ogniowych, ciemnych okularach — wysoki i barczysty o wypukłym dużym czole, wyglądał niby półbóg, niby uosobienie władcy maszyn.

Zatrzymał się przed sześcienną szklanną kabiną. Wokół trzaskały taśmy seledynowych iskier, z katody na katodę przelatywały wąskie ostre pasemka purpurowych blasków. Dudnienie głuche rozrywało przestrzeń. We wnętrzu kabiny stalowy robot-gigant Oss Nr 1 tkwił nieruchomo przy tablicy rozdzielczej. Długimi, wąskimi, czułymi palcami nastawiał, regulował, przekręcał dźwignie i przełączniki rozdzielni. Jego fotoelektryczne baczne źrenice sondowały z matematyczną dokładnością cyfry i liczby przyrządów pomiarowych.

Prof. Gerd przyglądał się mu z lubością — jego najwspanialsze dzieło — samoczynny, samomyślący aparat, działający niby perpetuum mobile — wiecznie i niezmęczenie — dokładnie, precyzyjnie. Bo istotnie, konstrukcja automatu była pomyślana wprost genialnie, — gdyż inżynier Gerd, odkrywca promieni kosmicznych, potrafił zarazem zużytkować fluidy myśli ludzkiej, nigdy niezniszczalnych błądzących w sferach Kosmosu i jakby to wyrazić nomenklaturą XX wieku, ożywiać nimi bezduszne machiny. Ów też niesłychany, wiekopomny wynalazek zjednał mu sławę najwybitniejszego z uczonych roku 3000. Tak więc robot-gigant Oss nr 1 stanowił pewnego rodzaju duchowo-maszynową indywidualność, dzięki czemu zdolny był kierować kolosalnymi zespołami motorów „Tytanii".

Dziś jednak dr. Gerd przypatrywał się jakby z niepokojem swemu dziełu — bowiem robot Oss nr 1 po raz pierwszy od lat 5-ciu nie pracował jak należy. Jego zawsze precyzyjna niczym pewnik matematyczny, dłoń — lekko drżała. Rzucił wzrokiem w głąb hal — stukot motorów brzmiał dziwnie arytmicznie. Olbrzymich rozmiarów kryształowe kule — kondensatory energii, były przeładowane, po zwojach kabli i drutów prześlizgiwały się raz po raz liliowe wstęgi wybuchów, jakieś niezwykłe zdenerwowanie ogarnęło maszyny.

— Czy nie uważa pan, panie kolego — zwrócił się do stojącego obok asystenta — że coś dzisiaj w naszej „Tytanii" nie wszystko idzie w porządku?

Chudy, szczupły mężczyzna o pooranej ospą twarzy — spojrzał nań z poza grubych szkieł zeissowskich okularów, a we wzroku jego tail się również, siłą woli kryty, niepokój.

— Rzeczywiście profesorze! Czyżby fluid myśli pod którego wpływem działa Oss wyczerpał się?

Pochylili się obaj nad niezwykłej konstrukcji aparatem. Nieduży platynowy walec wypełniony fluoryzującą złotawą cieczą, opalizującą zawsze mieniącymi się barwami miał teraz kolor mętnawy. Miarowo, rytmicznie idące w jego wnętrzu wahadło skontaktowane z poplątanymi splotami platynowych rur i rurek skakało nagłymi zrywami.

— Tragedia! — mruknął raczej do siebie prof. Gerd — potem nagle podniósł głowę i wbił swe zimne stalowe oczy w twarz asystenta.

— Straciliśmy kontakt z kosmosem — w głowie jego drgała nuta lęku.

Asystent przetarł dłonią jakby zbudzony ze snu człowiek czoło.

— Czyli nie ma nic pewnego na świecie — szepnął błądząc palcami po szkle kabiny.

— Nic pewnego? — Prof. Gerd był wściekle podekscytowany — nic pewnego! — powtórzył — Jest! — ton jego podniósł się o gamę wyżej — **mój mózg!** I przy pomocy niego zwalczę wszystko, zwyciężę każdą przeszkodę. Tak! — policzki pałały mu purpurą — on jest niezniszczalny, niezmożony. Mój mózg!

Asystent cisnął w twarz profesora ostrą błyskawicę swych źrenic.

— Bluźnisz doktorze! Niezniszczalnym, niezmożonym jest tylko i jedynie Bóg!

Nastał moment napięcia. Jedynie motory szalały w opętańczym tempie, jedynie turkusowe, seledynowe, szkarłatne pioruny wyładowań przeszywały przestrzeń potwornymi, rażącymi ogniami. „Tytania" drżała w posadach.

Na ustach prof. Gerda pojawił się grymas sarkazmu.

— Bóg mówisz? Więc zwracaj się do Niego o pomoc, a mnie zostaw „Tytanię". I ręczę ci, że sam sobie lepiej dam radę! Nasunął na głowę anti-ogniowy hełm i począł wspinać się po metalowych schodach na cielsko gigantycznej turbiny.

— A badaj działanie Ossa — huknął jeszcze z góry i zniknął w oparach ogni.

* * *

Tymczasem na szpaltach pism i dzienników wrzała zaciekła polemika. Nikła część społeczeństwa owej doby wierna jeszcze dogmatom katolickiej wiary — stanęła na twardym stanowisku przeciwko wznoszeniu posągów oraz oddawaniu czci ponadludzkiej prof. Gerdowi. Podczas gdy reszta pragnęła widzieć tego uczonego na najwyższych piedestałach. I oto właśnie dzisiaj Aeropol, miasto maszyn i złota roku 3000 miało obchodzić święto na chwałę słynnego uczonego.

Wokół gigantycznego obelisku z wygrawirowanym złotymi literami nazwiskiem uczonego zebrały się nieprzejrzane tłumy. Szkarłatne gwiazdy reflektorów gorzały na granatowym stropie niebios.

W naprężeniu, w szale radości oczekiwały tłumy pojawienia się dr. Gerda. Już wzniosły się ku górze złociste surmy gotowe wyrżnąć w niebo wszechmocnym hymnem zwycięstwa. Już wspięły swe liliowe wstęgi dymy kadzideł woniejących niczym zewy najegzotyczniejszych kwiatów, by osnuć nimbem cudu jego ponadludzki umysł.

Zaś Aeropol cały tonął w brzaskach świateł — przepastne tunele ulic zalały niebiesko-białe potoki blasków, gigantyczne, przystrojone w olbrzymie niby pióropusze, perłowe kaskady fontann jaśniały tęczowymi barwami. I także dziki warkot maszyn wzbijał pieśń mocy i zwycięstwa ku bezdennym szlakom, rzucając hymn potęgi i siły, niby bezczelne wyzwanie.

* * *

A „Tytania" dygotała w posadach. Kolosalne koła rozpędowe wyły szatańskim skowytem, powietrze przesycały ciężkie wyziewy ozonu, grzmot wybuchów rozrywał ściany hal.

Prof. Gerd stanął znów przy kabinie robota. Jego oczy stalowe, zimne, rzucały gromy gniewu, usta wąskie, zacięte wygięły się w ostry łuk — cała olbrzymia postać miotała się w niemej bezsile. Cisnął się ku tablicy rozdzielczej:

— Precz! wrzasnął do manipulującego coś przy pomiarowych przyrządach asystenta. — I ty jeszcze śmiesz wątpić w moją potęgę, śmiesz marny robaku poddawać mnie swej krytyce. Precz! — ręką wskazał mu drzwi. Ale oczy, niegdyś przyjaciela i najserdeczniejszego powiernika gigantycznych poczynań, tego genialnego człowieka, lśniły łagodnym, krystalicznym blaskiem. Patrzał nań przejrzyście, jasno i promienny uśmiech wyłonił się na jego wargi.

— Profesorze, co ci to? Opamiętaj się! Wszakże wiesz, że uwielbiam cię i uwielbiałem nad życie, wiesz, żeś mi był ojcem i bratem, więcej bo z twego ducha poczęła się moja wiedza. Lecz wybacz, naruszyłeś święte Imię Boga i to właśnie przejęło mnie trwogą.

— Precz! — głos Gerda był straszliwie wzburzony. — Nie ma Boga, nie ma nic, jestem tylko ja!

Zegary na wieżach „Tytanii" wybiły 11 i 1/2 — czarna noc zwaliła się na ziemię. Jedynie tutaj we wnętrzu potwornego Molocha Pracy, kolosalne motory grały jakąś wściekłą pieśń. Tam w załamaniu perspektywicznych prostych, gigantyczne niby zwaliska gór, generatory buchały płomieniami szkarłatnych ogni, prując zgiełkiem przestrasznym schlastaną blaskami halę. Znów pod metalowymi ścianami pełzały niby sploty wężów-olbrzymów spęczniałe brzemienne tumany dymów.

Gerd spokojny, zrównoważony zabrał się do pracy. Wtem maszyny nagle stanęły. Zaległa głucha, niczym niezmącona cisza. I w tej samej sekundzie nad Miastem Światła Aeropolem, rozpięła nieprzeniknione ciemności, zbita czarna noc. Przerażone tłumy zamarły w grozie.

— Czyżby kondensatory promieni kosmicznych przestały działać? — w zapytaniu Gerda czaił się niepokój. Zaświecił elektryczną latarkę i bryznął potokiem blasków w twarz robota. I dziwne! przez moment wydawało mu się, że ebonitowe usta Ossa wykrzywił sarkastyczny grymas.

Zaś nazajutrz miliongębna fama rozniosła po mieście wieść o katastrofie „Tytanii". Cały kraj został pozbawiony środków energetycznych i jak twierdzili znawcy, groził mu nieuchronny kataklizm. Oczywiście, głosy opozycji zwaliły całą winę na głowę prof. Gerda.

A tam w halach „Tytanii" czas zatrzymał się zupełnie. Mijały minuty, dnie, tygodnie, a Gerd z asystentem pracowali niezmużenie. Ale maszyny „Tytanii" ani drgnęły. Tylko na ustach samoczynnego, samomyślącego robota-giganta, najwspanialszego cudu wszystkich epok, leżał tajemniczy, ironiczny uśmieszek.

I którejś nocy Gerd znużony, wycieńczony przystąpił do asystenta podając mu niemym ruchem dłoń.

— Wybacz szepnął — bluźniłem, a teraz widzę, że umysł nawet najgenialszego człowieka wobec pewnych wyższych mocy jest niczym.

Potem ruszył się ciężko z miejsca i wyszedł w mrok, w czerń, w noc — opuszczony, niepotrzebny, samotny.

B. BROTYCZ

TELEFON BEZ DRUTU

W jaki sposób dorobił się pan Marian Bzura majątku w Ameryce, nikt nie wiedział na pewniaka. Jedni mówili, że trudnił się ryzykownym przemytem towarów alkoholowych w czasie prohibicji, inni znów twierdzili, że mąż ten handlował bydłem, to znów, że posiadał bogatą fermę i tam gospodarował szczęśliwie. Były to jednak tylko domysły ludzkie, nie oparte na żadnych dowodach rzeczowych. Wypytywany nieraz przez ciekawych, zbywał nasz amerykanin takie wywiady milczeniem, względnie odpowiedziami, z których nikt nie wiele się dowiedział.

Fakt był jednak niezaprzeczony, że pan Marcin wrócił ze swoją małżonką „na ojczyzny łono", z dobrze naładowaną dolarami kabzą, że w mieście zakupił zaraz kilka kamienic stając się tym samym pożytecznym obywatelem grodu.

W jednym, z komfortem zbudowanych domów, zajęli państwo Bzurowie, czteropokojowy apartament, umeblowany luksusowo w guście krzykliwie-pstrokatym. Na ścianach zawisły obrazy znanych malarzy, obok marnych oleodruków, pod nimi upstrzono ściany papierowymi wachlarzami olbrzymiej wielkości — a przy nich jakieś patyczkowe wywieszki z tkwiącymi w nich widokówkami i fotografiami. Po kątach salonu porozstawiano duże kanapiska, serwantki z figurkami podejrzanej wartości, z którymi kłóciły się drogocenne kryształy. Fotele, bujaki i pufy, rozsiadły się zapraszająco na dywanach i kilimach zasłanych na lśniącej podłodze. W jadalni i pokoju sypialnym stały meble stylowe z XIV wieku, przy nich znów Biedermayer nadawał ton, a dalej sprzęty tandetnej wytwórni. Wszystko to poustawiane bez sensu i składu, tworzyło chaotyczną całość jakiegoś domu meblowego, pełnego przeróżnych rupieci.

Gdy dekorator zlazł z drabiny po ukończeniu udrapowań ostatniej firanki u okien, weszli państwo Bzurowie na pokoje, lustrując z widocznym zadowoleniem, swoje nowe gniazdeczko.

„Ach, tatuńciu!" — zagadnęła rozkosznie opasła małżonka, biorąc się pod boki. — Bardzo mi się tu wszystko podoba, ale też trzeba koniecznie zostawić jeden pokój na przyjmowanie twoich interesantów. Ustawi się tam duże biurko, kluby i telefon — koniecznie musisz mieć telefon.

— „Pocóż mi telefonu? Żeby mnie ludzie cały dzień nagabywali? Nie ma głupich! Obejdzie się" — odburknął pan Marcin, niezadowolony z pomysłu swojej połowicy.

— „Usłuchaj mnie, tatuńciu! będziesz urzędował, jak cały hrabia, albo jaki amerykański minister" — to powiedziawszy przytuliła się pani Bzurowa do mężulka i okazałą prawicą poklepała pieszczotliwie jego łopatki.

„Tatuńcio", którego tak zwykle nazywała pani domu, pod wpływem dobrego humoru, łypnął rozrzewniającym okiem na swoją dozgonną towarzyszkę a nachyliwszy się, cmoknął ją w czoło oślinioną wargą, i wyszeplenił: — „ha, jak chcesz, niech ci będzie, ale wiesz, że ja telefonować nigdy nie lubiałem nawet w Ameryce. Zawsze wolałem gadać wprost do gęby a nie do słuchawki".

— „Nie, nie, tatuńciu, tutaj to całkiem coś innego. Jeżeli kto nie ma u siebie telefonu, to i nie ma poważania. Kup sobie mahoniowe duże biurko, brązowe lichtarze i kałamarz, żeby było wszystko prawdziwie po pańsku, tak, jak miał pan hrabia, który obok nas w Ameryce mieszkał".

— „Hano, dobrze, jak myślisz, że tak być musi, to się to załatwi. Zaraz pójdę na pocztę i każę sobie załączyć telefon, żebyś miała frajdę" — zakończył małżeńską konferencję pan Marcin.

Istotnie, udał się zaraz do miasta celem załatwienia tych spraw.

Po upływie tygodnia, gabinet przyjęć pana Bzury był wedle pomysłu jego małżonki kompletnie urządzony. Na środku pokoju stanęło olbrzymie jak bilard biurko z odpowiednimi do niego przyborami, a po lewej stronie lśnił luksusowy aparat telefoniczny. Obok przycupnęły klubowe skórzane fotele, ściany pokryto pstrymi dywanami, makatą i obrazami jak w żydowskim handlu towarowym. Na drzwiach wejściowych widniała tabliczka mosiężna z wyrytym napisem: „Przyjmuje się od godziny 4—6-tej popołudniu", a pod spodem surowe znamienne ostrzeżenie: „Obuwie należy wycierać" — „Pluć tylko do spluwaczek".

Zaczęło się więc urzędowanie. O godzinie czwartej zjawił się nasz dygnitarz w swoim gabinecie. Zasiadł przy biurku, zapalił wonne cygaro, a poziewając od czasu do czasu, oczekiwał zjawienia się interesantów. Już sporo czasu minęło, gdy pan Marcin siedząc nad plikiem ksiąg i stosem różnych papierów, znudzony daremnym wyczekiwaniem, spozierał na drzwi wchodowe, nadsłuchując dzwonka zwiastującego przybycie jakiego interesanta. Nikt jednak nie jawił się. Dla rozproszenia nudy, oddał się pan Bzura wspomnieniom swojej dość burzliwej przeszłości, gdy jako zawodowy przemytnik w Ameryce, brał udział w wyczynach iście bohaterskich, narażając swe cenne życie często na wielkie niebezpieczeństwo, gdy kulka rewolwerowa odgrywała nieraz bardzo decydującą rolę. Na myśl o tych przejściach, wypełzła na jego czoło chmurka niepokoju, ustępująca jednak wkrótce przed chytrym uśmiechem malującym się na rozlanej twarzy bogatego snoba.

W końcu znudzony widocznie niemiłymi kontemplacjami, ziewnął sobie pan Marcin raz jeszcze mamutowym rykiem, a rozparłszy się wygodnie we fotelu, usnął w błogim zadowoleniu.

Do uszu drzemiącego w przedpokoju lokaja dochodziło teraz tylko głośne chrapanie i sapanie, przypominające parskanie morskiego wilka.

Złośliwy jednak los przeznaczenia, nie pozwolił Bzurze na zbyt długą drzemkę, bo oto ciszę gabinetu przerwał nagle dzwonek w przedpokoju. Ktoś wszedł...

Pan Marcin, przyzwyczajony od dawna, do czujnego snu, zerwał się na głos dzwonka — poprawił krawat, musnął ręką po bujnej czuprynie. Chcąc zaimponować mającemu nadejść gościowi, zdjął z widełek słuchawkę telefonu i począł rozmowę. Po chwili wśliznął się przez drzwi apartamentu młody człowiek i przystanął, przysłuchując się wielce zdziwiony rozmowie jaką prowadził pan Bzura:

— „Aha... tak... no... naturalnie, to się jakoś załatwi panie hrabio, co?... ile?... tylko 10 000... hahaha... ależ to dla mnie bagatela, z chęcią panu hrabiemu pożyczę... na polowanie?... bardzo dziękuję... przyjadę... dobrze... dobrze... tak... tak... aha... hi-hi-hi a to doskonałe! pan hrabia przyjedzie do nas w odwiedziny?... bardzo proszę, będzie nam miło ugościć go..."

Tu łypnął pan Marcin na stojącego ciągle młodzieńca i nonszalanckim ruchem ręki wskazał mu pobliski fotel, by przybysz usiadł. Gość nie odrywając wciąż osłupiałego wzroku, od telefonującego Bzury, położył teczkę swoją na posadzce i usiadł pokornie na brzeżku fotelu. Tymczasem tubalny głos pana Marcina grzmiał dalej do słuchawki:

— „Czy tam pan baron?... halllooo!!! hallo! proszę nie przerywać!... jeszcze mówię!... pan baron?... aha... moje uszanowanie panu baronowi!... tu dyrektor Bzura... Jakże szanowne zdrowie?... przepraszam... nie słyszę... aha!... wczoraj nie mogłem przyjść do pana barona na proszoną kolację... ale doprawdy... nie mogłem... tak... tak... mam wiele zajęcia — z pięcioma kamienicami... to nie żarty!... Jak zdrowie pani baronowej?... dobre... na to chwała Bogu... moja żona wybiera się do państwa... tak... tak... będzie tam jutro z pewnością... moje uszanowanie".

Tu Bzura odsapnął... położył słuchawkę na widełki... a po ustawieniu nowej numeracji w aparacie, pokręcił korbką i podjął nową rozmowę: — „Jest pan dziedzic?... proszę do telefonu... moje uszanowanie... tu dyrektor Bzura... a to i ja pański las kupię... ile kosztuje?... 20 000... hm... dla mnie nie drogo... stać mnie na to... zresztą jeszcze o tem bliżej jutro pomówimy... dobrze... zatem czekam pana dziedzica u siebie w moim biurze przyjęć..."

Im dłużej trwała rozmowa telefoniczna, tym więcej potęgowało się zdziwienie na twarzy opodal siedzącego przybysza. Wstawał, to znów przysiadał... i jakby spłoszony, spoglądał nerwowo na aparat, to znów patrzał osłupiały na telefonującego zawzięcie „pana dyrektora".

Bzura znów łypnął na swojego gościa, jakby przekonać się chciał, jakie też wrażenie zrobił na nim wysłuchany dyskurs, poczem odsapnął, a odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do wylęknionego interesanta z iście dyrektorską miną: —„no, nareszcie skończyłem..."

— „Czym panu mogę służyć? he?... z kim mam przyjemność he?..."

Zalękniony do reszty młodzian, powstawszy z miejsca wyszeptał: — „Przybyłem z urzędu telefonicznego... i chciałem..."

— „Co takiego? z urzędu?... już po pieniądze?! tak wam się spieszy?!..." huknął poirytowany pan Marcin.

— „Nie, tylko przyszedłem załączyć ten aparat do sieci" — to mówiąc, wskazał zdeprymowany monter na luźno zwisający od aparatu drut telefoniczny.



W RAJU:

Adam: Gdzieżeż była tak długo?
Ewa: Stałam u węża w ogonku za jabłkami (Das Illustrierte Blatt)

NIE MA TEGO ZŁEGO, CO BY NA DOBRE NIE WYSZŁO

On był „zły“, a ona „dobra“,
Ale do małżeństwa przyszło.
Noc poślubna . . . . Nie ma „złego“, —
Co na „dobre“ by nie wyszło . . .

GŁOŚNIK, WTYCZKA I AKUMULATOR

Fraszka radiowa

Że głośnik zmienił wtyczkę raz do aparatu
Akumulator dał mu dwadzieścia pięć batów.
Niezrozumiałeś fraszki, bo mówię w przenośni!
Akumulator — to mąż, a żona to głośnik . . .

E. Kol.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



Między dżokejami:
— Mój koń ma czystą angielską krew, prędzej leci do tyłu niżeli naprzód. (Die Grüne Post)

— Tu poznać prawdziwego artystę. Odrazu się wyczuje, że śpiew płynie mu z serca!

— Tylko szkoda, że idzie drogą okrężną przez nos.

*

Sędzia: — Trzykrotnie w ciągu trzech nocy włamywał się pan do tego samego magazynu.

Oskarżony: — Tak, panie sędzio, ale ukradłem tylko jeden raz. To była suknia dla mej żony... Dwa razy musiałem ją zmieniać.

*

— Kluskiewicz, powiedz mi dlaczego w domu trzymamy króliki?

— Króliki trzymamy w domu panie psorze... króliki trzymamy ażeby nie uciekły.

*

— Usłuchałem twojej rady i powiedziałem matce, że wygląda młodo jak jej córka.

— I naturalnie zyskałeś jej względy?

— Tak, ale za to przepadłem u córki.

*

— Rozbiła pani salaterkę na głowie swego męża. Jest to czyn, którego pani z pewnością żałuje?...

— Oh, tak, panie sędzio. Szkoda salaterki dałam za nią 10 zł.

*

Lekarz: — Musisz pan przestać pić wino — to szkodzi. Pij pan mleko, bo tam się znajdują wszystkie składniki krwi ludzkiej.

Chory: — Ależ, panie doktorze, ja wcale nie jestem żądny krwi ludzkiej. Zostawiłem to dzikim zwierzętom albo ludożercom.

*

— Jak się pani miewa, co słychać z mężem?

— Ach proszę pani, bieda, mąż, stracił pracę i siedzi z założonymi nogami.

— Zapewne chciała pani powiedzieć rękami.

— Alboż to pani nie wie, że mój mąż jest artystą baletu?

— Jak szanownemu panu podstrzyc włosy?

Bez sprawozdania o pogodzie, bez skarg na chorobę wątrobianą, bez komunikatów wojennych i prognozy zakończenia wojny oraz bez narzekań na ograniczenia. (Das Illustrierte Blatt)

Pan w biurze matrymonialnym:

— Czy mogę zobaczyć fotografię tej damy co ma 150 000 posagu?

— Ależ to zupełnie zbyteczne. Przy takim posagu możesz pan sobie tę damę wyobrazić i bez fotografii.

*

— Jak tam twoja nowa służąca? Podobno ładna i do tego pracowita?

— Widzisz, była bardzo pracowita i posłuszna, zanadto nawet posłuszna, więc mąż... uważasz, jednym słowem, wyrzuciłam ją wczoraj za drzwi...

— Iii... głupiaś. Na twoim miejscu wyrzuciłabym męża, bo dziś o dobrą służącą stokroć trudniej niż o dobrego męża.

*

— Czy oskarżony jest żonaty?

— Tak jest panie sędzio!

— A czy oskarżony poczuwa się do winy?

— Oczywiście, sam sobie jestem winien. Nie trzeba się było żenić.

*

Przechodzień do chłopca, który prowadzi ociemniałego żebraka: — Od jak dawna twój ojciec nie widzi?

— Zwykle od 7 godz. rano do 8 wieczór.

*

Między kolegami.

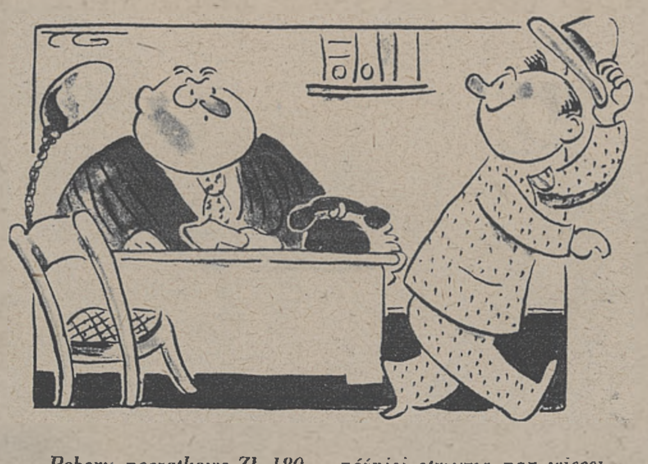
— Czy uważałeś, jak ona mnie chłodno przywitała?

— Rzeczywiście...

— A jednak życie mi zawdzięcza.

— Jak to?

— Byliśmy zaręczeni, ale gdy powiedziała, że woli umrzeć, niż wyjść za mnie — zwróciłem jej słowo.



— Pobory początkowe Zł, 180,— później otrzyma pan więcej.....
— Dziękuję — przyjdę później. (Die Woche)



Rozrywki umysłowe

KŁOPOT Z ZEGAREM

Pan Jerzy nabył staromodny zegar i chcąc wypróbować jak chodzi, skontrolował po tygodniu czas kupionego zegara z dokładnym czasem radiowym. Okazało się, że po tygodniu chodzenia, zegar spaźniał się o godzinę. Po upływie 2 tygodni różnica między czasem pokazywanym przez zegar a czasem radiowym wynosiła dokładnie dwie godziny. Pan Jerzy miał już skrócić wahadło zegara, ale musiał wyjechać nagle za niecierpiącymi zwłoki interesami na kilka tygodni. Zabronił on jednak domownikom manipulować w czasie jego nieobecności koło zegara, sam nakręcił go i odjechał. Po powrocie skonstantował, że zegar zamiast spaźniać się idzie o 4 godziny za wcześnie. Jak to jest możliwe, jeśli wszyscy domownicy stosowali się ściśle do jego wskazówek i nie ruszali zegara? Jak długo był kupiec w podróży?

SZTUKA Z FLASZKĄ

Na imieninach Zosi bawiono się znakomicie. Były tańce, gry towarzyskie, popisywano się różnymi sztuczkami. Jeden z panów postawił pustą flaszkę od piwa na stole, złamał zapałkę na trzy części i wrzucił je do flaszki. „Kto wyjmie te trzy patyczki z flaszki nie ruszając jej z miejsca — powiedział on — dostanie trzy złote“. Panna Zosia próbowała je wyjąć drutami, pan Józio przy pomocy sznurka. Nie udało się im to jednak. Pan Kazio, bez trudu, dokazał tej sztuki. W jaki sposób?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 36:

KIEDY PRZYJDZIESZ?

Gdyby wczoraj było jutrem dla środy, to znaczy, gdyby wczoraj był wtorek, a dziś środa, mógłby Henryk przyjść dziś (tj. we środę) do Kazi. Ponieważ to miało miejsce dla przedwczoraj, a więc dzisiaj jest czwartek, i Henryk będzie mógł przyjść dopiero wtedy, gdy piątek będzie wczoraj, a więc w sobotę.

NIEZWYKŁA HISTORA

Jeżeli młoda kukułka nie mogła opuścić domku, w którym otwór był dla niej za mały; — to również i stara kukułka nie mogła wejść do środka i znieść jajka.

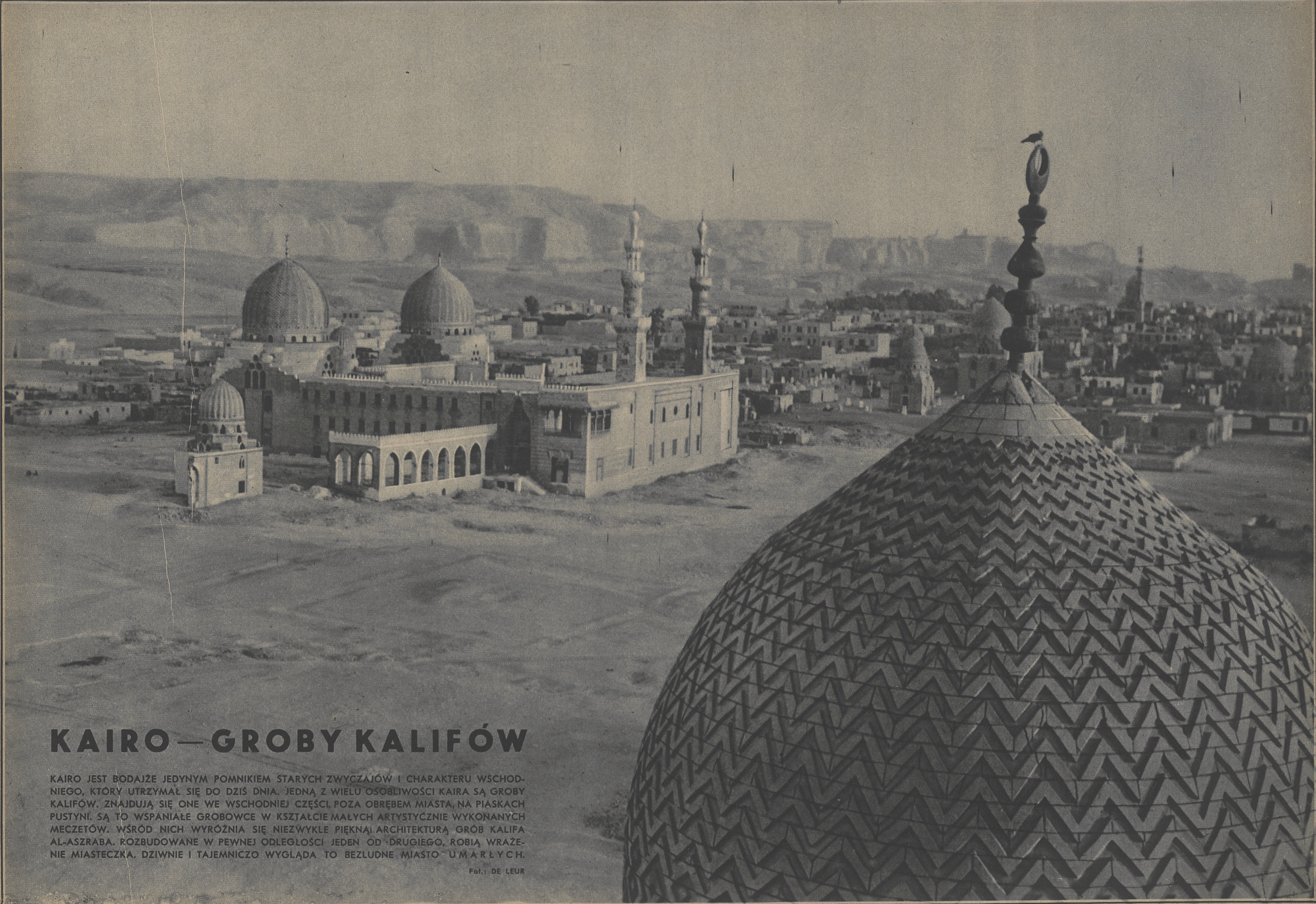
UWAGA! FOTOAMATORZY!



„CIĘŻARÓWKA“
Oryginalne zdjęcie, nadesłane przez p. St. Malarskiego ze Skierniewic.



W NIEDZIELĘ PRZY PATEFONIE...
Miły obrazek, wykonany przez p. St. Prokopiuka z Milanowa k/Parczewa.



KAIRO — GROBY KALIFÓW

KAIRO JEST BODAJŻE JEDYNYM POMNIKIEM STARYCH ZWYCZAJÓW I CHARAKTERU WSCHODNIEGO, KTÓRY UTRZYMAŁ SIĘ DO DZIŚ DNIA. JEDNĄ Z WIELU OSOBLIWOŚCI KAIRA SĄ GROBY KALIFÓW. ZNAJDUJĄ SIĘ ONE WE WSCHODNIEJ CZĘŚCI, POZA OBRĘBEM MIASTA, NA PIASKACH PUSTYNI. SĄ TO WSPANIAŁE GROBOWCE W KSZTAŁCIE MAŁYCH ARTYSTYCZNIE WYKONANYCH MECZETÓW. WŚRÓD NICH WYRÓŻNIA SIĘ NIEZWYKLE PIĘKNĄ ARCHITEKTURĄ GRÓB KALIFA AL-ASZRABA. ROZBUDOWANE W PEWNEJ ODLEGŁOŚCI JEDEN OD DRUGIEGO, ROBIĄ WRAŻENIE MIASTECZKA. DZIWNIE I TAJEMNICZO WYGLĄDA TO BEZLUDNE MIASTO UMARŁYCH.

Fot.: DE LEUR